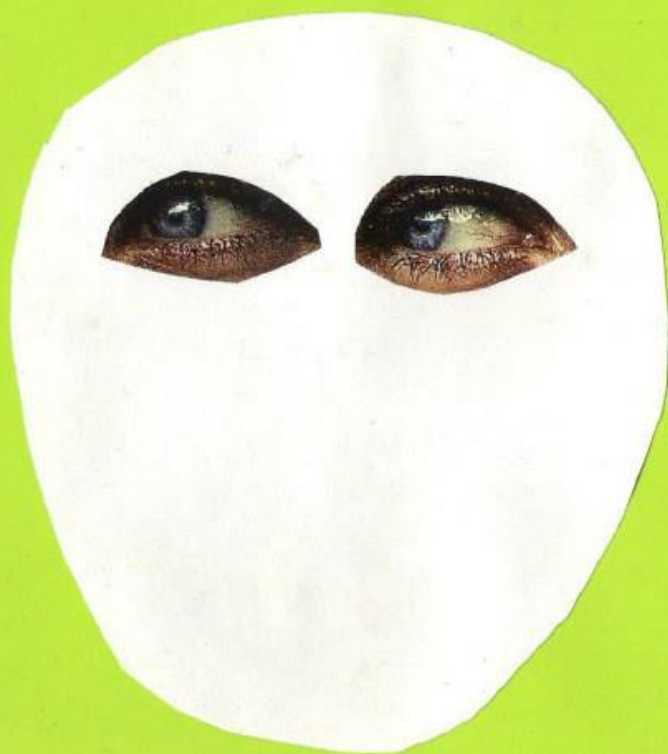


POKER face



K.P.
06.08.13

A. H. "Dziwny człowiek"

Fahrenheit Crew

<Powiedzmy sobie szczerze, poniższe opko jest straszne. Standardowo brak w nim końca, a i zawiązanie jest dość niejasne. Dziwaczne imiona, martwa frazeologia i orty. Fabuła nie istnieje, a na końcu czytelnika dopadają pytania „Ale o co tu chodzi?! O czym to właściwie było?!”

Z drugiej strony – poniższy tekst jest optymistyczny. Autorka od momentu popełnienia wspomnianego dzieła przeszła długą drogę. Pisała dalej, brała udział w Warsztatach Fahrenheitha i coraz lepsze teksty wysyłała do kolejnych periodyków. W końcu, za którymś razem, się udało. Autorka ujrzała swoje opowiadanie drukiem (i to nie takim, za który zapłaciła z własnej kiesy), potem drugie i kolejne... A teraz przygotowuje się do wydania powieści.

Czyli można.

Czego wypada życzyć wszystkim pisarzom in spe.>

Dziwny Człowiek

Szedł kiedyś człowiek przez miasto. Zwyczajny pożeracz chleba *<O! Zwłoki frazeologii. „Pożeracz chleba” to taki wypuszczony z obozu głodowego?>*, taki jak tysiące innych. *<Tysiące pożeraczy! Będzie o kanibalizmie jak nic, jak piekarnie nie nastarczą...>* Wysoki, o jasnych włosach i oczach jak płatki chabrow. Szedł spiesznie ulicami wszystkich miast, z trudem powłócząc nogami. *<Jednocześnie wszystkimi szedł?! W dodatku śpiesznie, ale powłóczył nogami. Coś mi tu, tego... umyka...>* Włókł się szarą drogą pośród budynków zakurzonej społeczności. *<Czemuś widzę zapadłą wiochę na końcu świata zasiedloną przez niedomytych tubylców...>* Aż napotkał człowieka bardzo mu podobnego. Odwrócił głowę, aby nie rozpoznał jego twarzy *<czyjej twarzy i kto?>* i spiesznie wyminął lewą stronę ulicy. I szedł tak nadal, aż zostawił miasto za sobą. *<Zwидуje mi się facet, który idzie na azymut, prosto jak strzelił. Góra, dolina, rzeczka, miasto, latarnia...>*

I weszło słońce. *<Znaczy blondasek szedł przez miasto w nocy? I tego tajemniczego sobowtóra rozpoznał tak od razu w ciemnościach? Wychodzi na to, że miasto było brudne, ale rzęsiście oświetlone. Pewnie żeby nikt nie przeoczył widowiskowego kurzu... Ekshibicjonistyczni Antyhigienisci?>*

<Gdyby ktoś się zastanawiał, o co chodzi z sobowtorem, może przestać – próżny to wysiłek i zupełnie niekonieczny. Fałszywe zawiązanie.>

Szedł *<Dotychczas mieliśmy „szedł” pięć razy, z czego raz w wariacie „weszło”. Tylko dwa z powtórzeń są retoryczne. Nie jest dobrze...>* człowiek równinami Scorpio. Ubrany jak zwykły, szary dzień *<Na głowę nasadził sobie szare niebo i owinął się cumulousem... No, faktycznie wtopi się w*

tło...>, tak by się nie wyróżniać. Bo gdyby zwracał na siebie uwagę pewnie było by to sprzeczne z wcześniejszym założeniem. <No shit, Sherlock...>

I wędrował tak od wielu dni, nie napotykając żywej duszy. <Ośmielę się zauważyć, że z dalszej części opka wynika, iż prócz przybysza i smoka na równinach rośnie jeszcze tylko sześć drzew. Wędrowiec musiałby się przebrać za step, żeby się nie rzucać w oczy.> Gdyby ktoś go zapytał o cel tułaczki, po chwili wahania odparłby, że tam gdzie znajdzie mądrość i sprzymierzeńca. <Jednego sprzymierzeńca. Warte zapamiętania.> Ale gdyby spytać go, co ukrywa się pod tymi pięknymi słowami, albo gdzie ma zamiar znaleźć ich meritum <Meritum słowa „sprzymierzeniec” to „sprzymierzeniec”. „Mądrości” - „mądrość”. Za to Autorka nie zapoznała się z meritum słowa „meritum”.>, nie potrafiłby odpowiedzieć jednoznacznie. <Szwendał się bez celu, za to po prostu... Hobby takie?> Rzekł by tylko, że poszukuje istoty potężniejszej niżli sam król, mądrzejszej od wiekowych uczonych z Bolfo, przebieglejszej aniżeli najpodlejsza z banshee <Czyli podłość i przebiegłość to się ma zawsze razem, tak...? Przebiegle... I podle. A w ogóle to myślałem, że banshee to tylko wyją, jak ktoś ma kofijną... Ja to zawsze do tyłu jestem...>, a zarazem stokroć groźniejszej niż mroczna naga o gorejących nienawiścią oczach, choć równocześnie piękniejszej od driady, czy najmłodszej z sirin. <Istota ma być piękna, mądra, potężna i groźna (i podła)... Połączenie biblioteki, komandosa i Andżeliny. To się facet naszukasz...>

I gdyby zagadnąć go, gdzie można natknąć się na takie cudo natury, dziwny wędrowca wzruszyłby tylko ramionami i powędrował dalej przez dzikie równiny scorpiońskie. Ale nie było nikogo, kto mógłby zadać te dziwne pytania. <Prócz narratora, który gada do ściany...>

Dlatego, nie nagabywany <Nienagabywana przez słownik Autorka i jej orty.> przez niczyją ciekawość i nie niepokojony ludzką obecnością, szedł dalej w oceanie traw w poszukiwaniu sedna mądrości.

- Czy to ciebie szukam? - zapytał pewnego poranka. Żółty wzgórek wśród bezmiaru stepów <Jeden step, drugi step, trzeci... No, cały bezmiar.> poruszył się i ziewnął.

- Och, to zależy... - Szary człowiek przystanął. <Autorka dba o to, żebyśmy byli niczym brzytwy. Ostrzy i gotowi. Najpierw zagadka numer jeden. Kto to powiedział? Zagadka numer dwa. Kim jest szary człowiek? To ten, co się ubrał w pogodę?>

- Od czego?

- Od tego czy jestem ci potrzebny. <Bo może jeszcze być tak, że się kogoś/czegoś szuka dla samego sportu, a nie po to że poszukiwany/a jest do czegoś potrzebny/a... Prawda?>

Wędrowiec przejechał dłonią po spłowiałych słońcem włosach.

- Jeśli jesteś tym, którego poszukuję od tak dawna...

Żółty pagórek wyszczerzył zęby w czymś imitującym uśmiech potwora.

- A kogóż szukasz? - Człowiek rozpromienił się, a był to pierwszy uśmiech od długich miesięcy wędrówki.

<Nieuznawany przez Autorkę styl z wykopalisk mówi, że kiedy piszemy dialogi, w jednej linijce umieszczamy informacje dotyczące jednej postaci:

- To, co mówi X - informacje narratora dotyczące X.

Ale Autorka jest awangardowa i dba o nasze IQ, dlatego prócz śledzenia tekstu podrzuca nam co i rusz zagadki w stylu: co, kto i w którym momencie powiedział.>

- A kogo znalazłem?

- Mam wiele imion. - Nieznajoma istota *<Bez przesady, wiadomo, że to smok.>* spojrzała w niebo. Słońce zabłysło w czarnych, jak pochmurna noc *<jak bezksiężycowa, mroczna i czarna, listopadowa noc gradowa - czy to wystarczające natężenie czerni, Autorko?>* tęczęwłokach. Podróżnik zafrasował się.

- Zatem nie mam pewności, czy to o ciebie mi chodzi. - Złote wzgórze uniosło kształtną głowę ponad korowód traw.

- Nie wyglądasz groźnie. - odezwało się grzmiącym barytonem - choć zdaje mi się, że twoja twarz jest mi znajoma... I nawet nie masz konia. *<Smok kolekcjonujący zdjęcia wrogów na koniach, albo trzy zdania bez związku.>*

Człowiek zaśmiał się.

- Tak naprawdę szukam smoka.

- Na piechotę? *<WTF? A co, nie wolno?>* Ciekawe... - Wzgórek podźwignął się na łapy. Cztery łapy. I jeden, pokryty łuskami ogon. - A że tak nietaktownie spytam, jakiego smoka?

Człowiek znów podrapał się w głowę.

- Złotego. - Bydlę spojrzało na swoje łapy. Uniosło jedną z nich i opuściło rozplaskując *<To był step pełen wodnych traw, które się rozplaskiwały. Fantastyka taka.>* trawy wokół.

- Robi się coraz ciekawiej. *<Jak dla kogo, ja tam zasypiam, bo dialogi są absolutnie o niczym...>* - Zauważył potwór nie spuszczaając z nieznajomego ciemnego spojrzenia. - W czymś mogę pomóc?

- Mam nadzieję, jak cię wołają?

- Maleńki.

- Nie wątpię. - niebieskooki zawahał się - A czy oprócz rozmiarów, wyjątkowych zresztą, nawet jak na smoka, bezczelnego wyrazu oblicza, ty - złoty i nieznosny masz jakieś imię?

Złoty i nieznosny podskoczył niespodziewanie, tylko po to by wylądować z hukiem, rozgniatając i zrównując z ziemią niezbędny element stepu. *<Element niezbędny... Ktoś ma jakiś pomysł?>*

- Niejedno. - Człowiek wzruszył ramionami i z nieodgadnioną miną ruszył dalej. Stworzenie przez chwilę śledziło go spojrzeniem.

<"Sęk" w wykonaniu Michnikowskiego i Dziewońskiego zaczyna się podobnie:

- Halo?

- Kto mówi?

- Kuba?

- Ale kto mówi?

- Jeżeli nie Kuba, moje nazwisko pana nic nie powie. Kuba?

- Jaki Kuba?

- Goldberg!

- A jeżeli Kuba, to kto mówi?

I tak dalej. Z tym, że „Sęk” jest zabawny. Napisana przez Autorkę konwersacyjna ganiańska wokół krzaka, złożona z niekoniecznie pasujących do siebie ripost, jest zwyczajnie koszmarnie nudna...>

- Zaczekaj człowieku. - Podbiegło kawałek, aż od tego powolnego kłusa zadygotała ziemia. Zawołany odwrócił się czując na plecach nieświeży oddech potwora. *<Nos na grzbiecie? Tak... Katar to musi być towarzyska katastrofa.>*

- Kogo szukasz?

- Nagela. - odparł powoli dziwny człowiek - Nagela Morana.

- De Bahir - rasu? - Złote monstrum ruszyło za nim rozgarniając trawy i pozostawiając za sobą wydeptany tunel szerokości kilku stóp.

- Nagela Morana de Bahir - rasu?

Nieznajomy kiwnął głową. Smok przekrzywił głowę na bok i zatrzymał się nieopodal.

- Nagel Moran de Bahir - rasu, Sed Seddish Drażliwy, Najstarszy Władający w Dolinie Trzech Drzew, Niezależny Pan Drugiego Łądu. *<AS ze swoim Emielem Regisem coś tam, jakoś tam padłby z zazdrości.>* Miło mi poznać *<Przywitał się sam ze sobą, hm... Rodzaj paranoi?>*, to ja.

- Zatem cieszę się, że to ty.

- Ja również. *<Zaraz się potnę, jak rany...>* - Odparł smok z uśmiechem na pysku. Człowiek odwrócił się i powędrował dalej przez równiny Scorpio. Złotołuski odprowadził go spojrzeniem, póki nie zniknął wśród zielonego morza stepów.

<Koniec scenki numer jeden. Poznaliśmy smoka oraz dowiedzieliśmy się, że ma imię niemieszczące się na żadnej standardowej wizytówce. Dowiedzieliśmy się także, że obiekt poszukiwań był bardzo konkretny (złoty smok) i wcześniejsze opisywanie go przy pomocy legionu porównań służyło Autorce wyłącznie do poetyckich treningów.>

Z przyczyn mało zrozumiałych poszukiwacz po znalezieniu poszukiwanego obiektu stracił gwałtownie zainteresowanie znalezionym. Jedziemy dalej.>

Nagel Moran nie byłby smokiem, gdyby nie zżerała go ciekawość *<Ta... Byłby tchórzofretką.>*, a że smokiem był, zatem poderwał się w górę i rozłożył lśniące skrzydła. *<Konstrukcja tego zdania jest mniej więcej taka: Jutro będzie padać i śliwki po 16,40.>* Zatoczył jedno koło, rozejrzał się, zatoczył drugie i skierował lot ku sześciu drzewom scorpiońskim. Tam wylądował starając się nie trafić w wędrowca.

- Ty, co jest? - walnął z grubej rury, i to dosłownie - Co to za numer z wypytywaniem?

Człowiek wyminął go i pomaszerował dalej. *<A kto mi wytłumaczy: czemu?>* Smok nie dał mu spokoju i uparcie podskakiwał *<Rozplaskując trawy i inne elementy niezbędne...>* wciąż wyprzedzając go o krok.

- Znam cię. Jesteś Nemenem, czyż nie? *<Nemeni to naród. Jak Polacy. Czyli: „Znam cię. Jesteś Polakiem!” Powalające po prostu...>*

Mężczyzna skinął jasną głową. Potwór burknął coś pod nosem. Bardzo dużym, złotym nosem, najeżonym kolcami od podstawy aż po wilgotny koniuszek. *<A co powąchał, nabił jak na wykałaczkę... He, he.>*

- To na tyle koncypowania. Powinienem cię znać? *<Ze smoczych dialogów: „Twoja twarz wydaje mi się znajoma... (...) Znam cię. Jesteś Nemenem! (...) Powinienem cię znać?” Tak się ma, jak się zapomni rano łyknąć lekarstw.>*

Jasnowłosey uśmiechnął się. Nie wiadomo, do siebie czy może gada. *<Czy może co...?>*

- Powinieneś, jeśli naprawdę jesteś tym, za kogo się podajesz.

- Jestem. - bestia podfrunęła kawałek, samym poruszeniem chyląc roślinki *<trawki, kwiatki i krzaczki>* ku ziemi - Tak mi tylko czasem pamięć szwankuje. *<Nie, no co ty???>* Do imion się znaczy. *<Jasssne...>*

- Oczywiście. - Człowiek nie zrażony *<niezrażony>* kontynuował podróż przez step.

- Pochodzisz z Verhor, prawda? - smok spojrzał na niego z góry - Musisz być stamtąd.

- Jestem Nemenem, wszyscy Nemeni pochodzą z Verhor, ale z Henne'al tylko nieliczni.

- Tego Henne'al? - potwór opadł w trawy o kilka kroków od łowcy verhońskiego - Góry Perytonów? Starej twierdzy władców smoków? Musiałbym cię znać, wybacz, ale nie możesz stamtąd pochodzić.

- Dlaczego? - w oczach jak niebo błysnęły isierki przekory - Znasz jakiś sensowny powód?

- Byłem tam, poznałem wszystkich jego *<tego twierdza>* mieszkańców. *<Każdy miał swoje pięć minut ze smokiem, nawet sprzątaczką Stefa. A króla to nawet na pół godziny wpuścili. No, jasnie wielmożny panicz na plantację przyjechał...>* To jest po prostu nie-moż-li-we żebym cię nie spotkał. *<bo opornych dostarczano związanych.>*

- Kiedy to było? - Smok zmrużył oczy i pochylił głowę patrząc na człowieka tak bardzo spode łba na ile pozwalały mu kościste wyrostki na czole.

- Kilka wiosen temu... *<KILKA. Czyli maksymalnie dziewięć lat temu. A wtedy, jak z dalszej części opka wynika - przybysza w „planach nie było”. Do zapamiętania.>*

- Ile? - potwór zamyślił się dłubiąc pazurem w zębach - Coś mi tu, kurde, utknęło... Byłbyś tak dobry Nemenie... *<i zrobił mi przegląd uzębienia? Wiesz, ta cholerna piątka doprowadza mnie do szału.>*

Spojrzał niepewnie na człowieka, ten zaś wzruszył ramionami i ruszył dalej. *<Fi donc! Jak on śmie nie znać mojego imienia, no! Świnia, nie gad!>* Smok parsknął aż trawy przypadły do ziemi. *<i drżące oczekiwały na wyrok...>*

- Nie pamiętam, no! - podbiegł świńskim truchtem w ślad za wędrowcem - To było tak dawno temu...

Łowca verhorski zajrzał bestii w oczy. To co w nich zobaczył *<Zdziadziatego smoka z demencją?>*, powstrzymało go od gniewnej riposty. *<bo jeszcze gad na zawał zejdzie...>*

- Pewnie mnie nawet nie było w planach... *<No, no. W planach nie było...>* - powiedział cicho - Spróbujesz zgadnąć, smoku? *<Zgaduj, smoku, efektem czyich łóżkowych uniesień w całym Henne'al jestem ja - Ean Daeni! Masz prawo do trzech prób.>*

- Przy skromnej pomocy... - przekrzywił głowę jak rozkapryszony psiak - I współpracy wszystkich komórek mojego pokąźnego rozumu...*<Taa... Wszystkich pięciu. Resztę zeżarł alzheimer.>*

Mimowolnie człowiek uśmiechnął się.

- Pytaj potworze.

- Jesteś strażnikiem Verhor, prawda? *<Tak! I mam plastikowy mieczyk! I łopatkę też mam.>*

Odpowiedziało mu kiwnięcie jasnej głowy. Wyraz skupienia zagościł na chwilę na pysku gada, i trzeba mu przyznać, że wyglądał co najmniej pociesznie.

- Bronisz przełęczy, świątyni czy twierdzy? *<ewentualnie piaskownicy?>*

- Henne'al. Stamtąd pochodzę. *<A co to ma do rzeczy? Nie można już walczyć poza miejscem urodzenia?>*

- Ach, prawda, mówiłeś... - smok pokiwał głową mamrocząc wyzwiska pod swoim adresem - Zatem pewnie znasz osobiście pana południowych stoków, niejakiego Ig'terrena Daeni z Verhor? *<Fajne te imiona...>*

- Masz nieaktualne wieści, smoku.

Smok zmarszczył łuski *<No wziął i je lekko splisował>*, o ile to było możliwe *<niektóre mu pękały, ale się nie poddawał>*, choć człowiek przysięgłby, że tak właśnie to wyglądało. *<Smok marszczył łuski, a człowiek przysięgał, że tak to właśnie wyglądało... Czego tu się czepiać...?>*

- Terren nie jest już władcą Twierdzy Perytonów. Teraz rządzi tam jego syn.

Złote bydlę uderzyło w ziemię ogonem, aż echo, niczym grom pomknęło stepami płosząc wszystkie żyjące istoty w okręgu kurhana drogi. *<Jedna nekropolia to dziesięć cmentarzy. Jeden cmentarz to dziesięć kurhanów. Czas tu liczyć w grobowcach, a przekreślona urna to pewnie zakaz palenia.>*

- Fakt, tak musiało się stać, że berło przejął mały Ean Daeni. *<A skąd smok to wie? Przecież Eana w planach nie było...>* - Smok niespodziewanie uniósł spojrzenie zakotwiczając je w twarzy Nemena. *<Spojrzenie nieco się szarpało, ale kotwica siedziała mocno w kości jarzmowej...>* - Pozwól mi popatrzeć w twą duszę człowieku...

Łowca ani drgnął, cierpliwie znosząc świdrowanie ciemnych oczu potwora.

- To ty... - warknął smok - Ukrywałeś się... *<Tak... W macicy mamusi się ukrywał. Spryciula.>* Ty jesteś wrednym, przekornym, małym Eanem... *<Którego smok nie mógł znać, bo się dzieciak jeszcze nie urodził.>* teraz jesteś Ig'eanem, prawda? Awansowałeś... *<Objęcia tronu po ojcu nie nazywa się awansem. To nie fotel dyrektora.>* Strażnik Verhor, pan na Henne'al, wielki władca stoków południowych, hegemon perytonów, smoczy suweren... *<i dziewięcioletni szczył.>* No, kto by

pomyślał? *<Prawda?>*

Nagel Moran de Bahir - rasu, odwrócił się od niego i spojrzał w niebo.

- Co też bogowie teraz wymyślili?

Człowiek niespodziewanie położył dłoń na chropowatej łopatkę smoka.

- Wiesz co to znaczy? - spytał cicho, lecz złotoluska istota nie odpowiedziała.

- Podlegasz moim rozkazom Nagelu.

Równie znienacka, co gwałtownie *<Bo można, prawda, znienacka, ale i tak powoli. Tak bardziej sprytnie...>* zwierzę rzuciło ogonem zwalając Nemena z nóg. Powoli, tak, by człowiek zarejestrował fakt, potwór zbliżył paszczę do jego twarzy. Gorący, śmierdzący oddech owiał oblicze Ig'eana.

- Zapamiętaj jedno, człowieku. - wycedził przez zęby *<Dobrze, że nie przez sitko... Dlatego czytelnika doinformować należy.>*, tak, by nie miał żadnych złudzeń co do zamiarów smoka *<Zagadka: kto tu „cedzi” i do kogo?>* - Nie podlegam niczym rozkazom! Bezkarnie olałem króla, opuściłem Dolinę Trzech Drzew i od lat nie odwiedzam braci w Verhor, a nikt mi słowa nie powiedział! *<Czego nie powiedział??>* Pewnie też dlatego, że nie potrafią mnie znaleźć... *<Bo gdyby potrafili, to król by mi reprimendy udzielił. Ale takiej naprawdę super ostrej zębki, no! I potem jeszcze strzeliłby focha. Dlatego się ukrywam.>*

Odsunął się nieco, by Nemen mógł wstać.

- Zapamiętaj, że to ja jestem Nagelem Moranem de Bahir -rasu, Sedem Seddishem Drażliwym...*<Pamiętam, już raz się śmiałem...>*

Człowiek otrząpał ubranie i spojrzał krzywo na złote zwierzę.

- Wiem kim jesteś. Co nie zmienia faktu, że w świetle istniejącego prawa i ty także *<Także? To znaczy, kto jeszcze służy blondaskowi?>* masz mi służyć...

- Nigdy! - Nagel walnął ogonem najpierw o ziemię, a potem w pierś mężczyzny. Nemen ciężko uderzył plecami o rozłożyste drzewo, jedno z sześciu na całym Scorpio. Smok przysunął się tak blisko, że przycisnął człowieka do pnia nie pozwalając mu osunąć się na ziemię. *<No no, facet ma żebra z duraluminium.>*

- Nikt, rozumiesz, nikt nie będzie mi rozkazywać! - Chuchnął łowcy w twarz, jakby ten parzący oddech miał przypieczętować wcześniejsze słowa i uwolnić Ig'eana z pułapki. Nemen potarł obolałe żebra.

- Dobra... - wyjęczał - Trzeba było tak od razu...*<Bij mnie! Krzywdź mnie! RZUĆ MNĄ O STEP!>**

Nagel Moran spojrzał na zwiniętego w pół człowieka i przekrzywił głowę na bok.

- Nie uszkodziłem cię za bardzo?

Ig'ean pomacał kości i pokręcił głową. Smok wystawił się do niego zadem.

- Masz niecodzienny dar zjednywania sobie przyjaciół... *<Nie bardzo rozumiem, o co tu chodzi. Ci władcy twierdzą, na mocy jakiegoś tam prawa, mają możliwość rozkazywania smokom. Przybysz po prostu upomniał się o to, co mu się prawnie należy... Co ma do tego zjednywanie sobie przyjaciół?>*

Król ma się przyjaźnić ze wszystkimi poddanymi?! O ja...>

- Prawda. - Ean Daeni uśmiechnął się szeroko - Zawsze sprawiało mi to masę kłopotów.

- Kwestia wprawy... Nie możesz bazować tylko na swojej pozycji i charyzmie, to tak na dłuższą metę nie przydaje się w konfrontacjach z przeciwnikiem. Koniec pierwszej lekcji. *<I ostatniej. Takiego nauczyciela to za pysk i na bruk. Charyzma pomaga zjednywać sobie ludzi, pozycja także. A sprzymierzeńcy zawsze się przydają, kiedy dochodzi do konfrontacji. Swoją drogą wędrowiec ma tyle charyzmy, co kot napłakał. Pozycję też ma raczej wątpliwą, mimo listy tytułów długiej jak stąd na Księżyc.>*

Odwrocił głowę zaglądając człowiekowi w lekko poszarzałą twarz.

- A tak właściwie, z czym przybywasz?

- Potrzebuję twojej pomocy. *<To królestwo to takie bardziej upadłe, nie? Król pieszo włóczy się po świecie w poszukiwaniu sprzymierzeńców... Pewnie concept blitzkriegu jeszcze nie został odkryty i wojny mierzy się tu epokami geologicznymi, bo inaczej to królestwo już pięć razy by zrównano z ziemią.>* - łowca z jękiem podparł się o drzewo - Pewnie wiesz, co dzieje się w królestwie?

Smok skinął łbem i splunął między dwa wybujałe osty.

- Wojna, ani moja, ani twoja sprawa. *<No faktycznie, wojna u granic królestwa, a król, według smoka, panienki do królewskiego burdelu powinien wybierać. Albo arrasy do przedpokoju. Albo cuś.>* Do ciebie nie wejda, do nas tym bardziej. *<Co, kto i do czego nie wejdzie?>*

- Nie, smoku - Ig'ean wpatrywał się w niego ze zdziwieniem - sprawa jest bardziej skomplikowana. Nie chodzi im tylko o Ramir. Naruszyli również Vonde, a także suwerenność większości wolnych ziem i miast. Zagrożą wkrótce i nam. *<Proponuję teraz wrócić na początek tekstu, gdzie bezimienny jeszcze blondasek szukał sprzymierzeńca. Nie wiedział dokładnie, kogo szuka, miała to być istota groźna i potężna. Miała być też piękna... „Niestety, drogi sprzymierzeńcze, z przykrością musimy odrzucić propozycję zawarcia sojuszu, bo brakiem urody psuje nam Pan estetykę okopów. Z poważaniem: Król”>*

- Nie sądzę. - podrapał się tylną łapą w prawą łopatkę *<Kto?>* - Musieliby się bardzo starać, żeby przetrzebić wszystkie kasty smocze.

- Uwierz Nagelu, dobrze im idzie. Niedługo tak robią, to nie jest zwyczajny najazd, zupełnie, jakby popierało ich coś znacznie potężniejszego od naszych, powiedziałbym lokalnych bogów. Nie dajemy im rady.

- Naprawdę? - smok zwrócił ku niebu czarne oczy, jakby tam poszukiwał odpowiedzi - Więc z czym przychodzisz do mnie? Myślisz, że skrzyknę paru moich kuzynów i odwalimy za was całą tą paskudną papraninę? Wcale nie gustuję babrać się wśród trupów, cokolwiek by mówiono o smokach i rękę za moich braci, że oni również. *<Babrać w trupach? Myślałem że chodzi o zabijanie wrogów, a nie seanse anatomopatologii najeźdźców...>*

- Nie, nie tak wyobrażałem sobie naszą współpracę... - Ig'ean potarł czoło - Myślałem o czymś innym...*<Ja, przyznam, też...>*

Nagel Moran de Bahir - rasu opuścił ku niemu spojrzenie i uśmiechnął się wszystkimi poślódkami ze starości zębami.

- Zamieniam się w słuch.

- Chodzi o to... - łowca verhorski zawahał się na mgnienie - no, zgubiliśmy ich.

- Agresora?

Człowiek kiwnął głową z zakłopotaniem wyłamując ręce ze stawów. Smok gwizdnął przez kły.

- Jak to zrobiliście? - spytał z nabożnym wręcz podziwem - Jak udało się ludziom taka sztuka? *<Się dołączę. Ja też nie rozumiem, jak jedno państwo może zgubić drugie. One są tak jakby przytwierdzone do jednego miejsca...>*

- Sami nie wiemy. Po prostu zniknęli i koniec. Nie ma ich. Nigdzie.

- To po kłopotcie. Nie ma wroga, nie ma wojny. *<Aaa, rozumiem... Jest tylko wielka dziura w ziemi, po miejscu, gdzie mieszkali agresorzy.>*

Nemen parsknął z irytacją.

- Żeby faktycznie tak było... ale oni nadal atakują. Pojawiają się znienacka tuż przed bramami miasta *<Skoro wrogowie mają takie teleportacyjne możliwości, to nie prościej byłoby się pojawiać od razu w środku miasta?>*, zanim obrońcy zdążą się przygotować, a nie fizycznie niemożliwe jest utrzymywanie całodobowej gotowości bojowej. *<Niefizycznie niemożliwe? Czyli fizycznie możliwe... Tak? A co w tym dziwnego? Całodobową gotowość utrzymywano w twierdzach czy miastach czasem przez całe tygodnie. Też mi strażnicy i łowcy...>*

Smok podrapał się przednią kończyną za uchem.

- To istotnie nie lada dylemat *<Dylemat to sytuacja, kiedy należy dokonać wyboru pomiędzy dwoma równorzędnymi sposobami postępowania bądź rozwiązaniami. Ja tam dylematu tu nie widzę, ale w sumie nadal nie wiem, o co chodzi.>*, ale wasze miasta są nadal bezpieczne? Na pewno bym słyszał o napadach na Verhor... *<Drzewa ze Scorpio się na satelitę zrzuciły. Czasem przychodzę popatrzeć... - dodał do siebie smok.>*

- Ale Ramir i Vonde... My naprawdę pracujemy bez ustanku byle choć w przybliżeniu określić ich pozycję. *<Satelity szpiegowskie, niewidzialne samoloty i komputery, tak? „Określać pozycję” to anachronizm w tym tekście.>* Co gorsza nie mają żadnego schematu poruszania, a na dodatek podzielili się na mniejsze, to znaczy wcale duże oddziały i każdy buszuje po kontynencie zupełnie samodzielnie... *<Bo takie duże oddziały to nie jedzą, nie śpią, nie grabią wiosek dla zdobycia zapasów, nie przechowują łupów itd., w związku z czym namierzenie ich jest niemożliwe... „Wywiad dla opornych” se król kup.>*

- Dobrze wiedzieć i to. - Nagel Moran od dłuższej już chwili bębnił ogonem o ziemię, aż niska wibracja łaskotała w stopy. *<Skoro mówimy o wibracji, to smok musiałby walić ogonem o ziemię co najmniej kilka razy na sekundę. Wibracja nie łaskotałaby w stopy łowcy. Miotałoby nim po całym stepie.>* Oderwany od spokojnej drzemki, był teraz wkurzony, a stojący obok Nemen wcale nie poprawiał mu nastroju. Ig'ean odezwał się pierwszy.

- Robimy postępy. *<Znaleźliśmy ich latryny.>*

- To też dobrze wiedzieć. Nie obejdziecie się jednak bez mojej pomocy? - Nagel wiedział, że takie nerwowe nastawienie *<Co tu jest „nerwowe”?>* drażni łowcę, ale teraz działał z premedytacją znaną tylko smokom kasty władającej *<No aż normalnie cały się trzęsę od tej smoczej premedytacji...>* -

Zezen. Człowiek z Verhor sprawnie ukrył uczucia na twarzy. <Związał je w elegancką, małą paczuszkę i wepchnął za oczodół? Tak? Gratulujemy. A ciekawe co chowa w... Eee... Mniejsza z tym.>

- Obawiam się, że nie... Ostatnio <Znaczy kiedy, jak długo władca jest w drodze?> coś tam się skomplikowało i ostatnia osoba, twierdząca, że udało jej się rozszyfrować wroga, zginęła śmiercią dziwnie samobójczą. <Dziwnie? Znaczy, zadała sobie dwadzieścia pchnięć w plecy włócznią, a potem obcięła sobie głowę? O taką dziwność chodzi?>

- Czyli nie znaleźliście nic.

- No... - Ig'ean przeczochnął krótkie włosy, tak, że sterczały każdy w inną stronę - Można to i tak ująć...

- Rozumiem. Czego się po mnie spodziewasz? <Zaraz się dowiemy, o co w tym opku chodzi!!!>

- To raczej dłuższa opowieść... - Smok ziewnął nerwowo.

- Cóż, chyba mogę poświęcić ci więcej czasu niż zamierzałem początkowo... Wyłuskaj rzecz dokładnie i ze wszystkimi niezbędnymi szczegółami, zobaczmy co da się w tej sprawie zrobić...

Ale to już zupełnie inna historia. <A, nie dowiemy się...>

<Dobrnęliśmy do końca. Uff... Chyba nie muszę nikogo przekonywać, że nie mamy do czynienia z utworem? Z opowiadaniem, nowelką czy jakąkolwiek inną formą literacką?

To zlepek scenek. Zróbmy skrótowy plan.

Bohater przemierza miasta, wiele miast. W jednym z nich spotyka gościa o niemal takim samym wyglądzie, jak jego własny. Postanawia się z nim nie spotkać. I tyle o tajemniczym bliźniaku...

Akcja wartko przeskakuje na jakieś równiny trawą porośłe i okazuje się, że bohater szukał smoka (po jaką cholere w miastach go szukał???). Bohater smoka znajduje i rozpoczyna się trwający przez większość wannabe opka konwersacyjny gra pt. "Nie powiem Ci, kim jestem ani czego chcę".

Dziwacznie skonstruowane i nudne dialogi ciągną się w nieskończoność, smok i człowiek mozolnie ustalają swoje imiona, genealogię przybysza oraz kto komu podlega. W końcu, po kilku eonach, dostajemy komplet niekoniecznych informacji. Interlokutorzy zmieniają temat i dowiadujemy się, że wybuchła wojna. Człowiek, który po drodze okazał się władcą strony przegrywającej, przybył prosić o pomoc.

Właściwie od tego momentu możemy mówić o zawiązaniu, czyli starcie fabuły właściwej. To wcześniejsze należałoby raczej zakwalifikować jako przydługi wstęp. Niestety, ja i Autorka różnimy się tu diametralnie, bo "opko" właśnie nieodwołalnie się kończy. Człowiek, po odmowie smoka, jeszcze tylko wyjaśnia, że nie o smażenie wrogów z powietrza mu chodziło. Ale o co właściwie - nie wiadomo. Autorka stwierdza, że "to już inna historia", co wzbudziło we mnie atak radosnego śmiechu, bo sugeruje, że jakakolwiek historia została opowiedziana.

Nie została - stan opowiedzianych historii: 00,00.

Takoz stan opowiadań.

Szkoda.>

* - Parafraza cytatu z jednej łapanki [Przyczajonej Logiki Ukrytego Słownika](#). Nie mogłem się oprzeć.